



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

ś. p. Ks. Szymon Kozłowski

Arcybiskup-Metropolita Mohylowski.



skiej i kształcił się najprzód w seminaryum wileńskim, potem w akademii duchownej w Petersburgu. W tych samych zakładach był z kolei aż do roku 1883 profesorem i rektorem, poświęcając swój czas wychowaniu młodych kapłanów i pisaniu prac naukowych i religijnych.

W 1883 r. został prekonizowany na biskupa łucko-żytomierskiego, a w 1891 roku na arcybiskupa dycjezyi mohylowskiej, która co do obszaru jest największą w świecie.

Pomimo sędziwego wieku i steranego zdrowia, do końca życia zajmował się gorliwie licznymi obowiązkami swego dostojenstwa, nie odmawiając nigdy pomocy i rady potrzebującym, zwłaszcza młodzieży, nad wychowaniem duchownem której tak długo i z takim oddaniem się pracował.

Zgon jego wywołał ogólny żal, bo zostawił po sobie zasłużone na wielu polach imię.

Pogrzeb ś. p. Arcybiskupa odbył się z wielką uroczystością w Petersburgu.

Z dobrych rad.

II.

Chcesz być czemś w życiu, to się ucz,
 Abyś nie zginął w tłumie:
 Nauka — do potęgi klucz,
 W tym moc, kto więcej umie.

Bo wiedz, nie popchną tego wstecz
 Ani pochłoną fałs,
 Kto umie choćby jedną rzecz,
 Lecz umie doskonale.

Ig. Baliński.

Dnia 17 listopada r. b. przypadła 80-ta rocznica urodzin J. E. ks. Kozłowskiego, arcybiskupa-metropolity mohylowskiego, który przed pięciu laty obchodził już półwiekowy jubileusz kapłaństwa. Niestety, w niespełna dwa tygodnie po tej rocznicy zakończył swój czcigodny, poświęcony służbie Bożej — żywot.

Imię sędziwego arcypasterza znanem jest dobrze zarówno wśród młodzieży, jak i starszych. Z jego „Historji Świętej” Starego i Nowego testamentu uczy się dziejów Objawienia Bożego czwarte już pokolenie od lat kilkudziesięciu, a oprócz tego wiele innych dzieł treści religijnej wyszło z pod jego pióra,

Ś. p. Arcybiskup Kozłowski urodził się 17 listopada 1819 r. w pow. trockim gub. wileń-

Zofia Bukowiecka.

Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

O wyrobie szkła.

Prosz mi, Michasiu, robić bańki z mydła — prosiła Cesia brata, który właśnie wrócił z klasy i zastał na swoim stole przybory do ulubionej przez siostrzyczkę zabawy. Michaś mógł słusznie okazać pewne niezadowolenie, bo stolik czwartoklasisty nie jest wcale miejscem stosownym dla miseczki z wodą, kawałków lepkiego mydła i słomek; ale Michaś to chłopiec rozumny, a rozumny człowiek bywa zwykle dobrym i wyrozumiałym.

Uśmiechnął się więc pobłaźliwie, usunął książki i wzięwszy małą Cesię na kolana, wydmuchnął prześliczny różnokolorowy balonik z mydlin. Patrzy za nim ciekawie, czy też daleko odleci, patrzy i myśli.

Taki to już zwyczaj Michasia, że nad każdą rzeczą zastanawiać się musi, i teraz więc robiąc bańki z mydła, przypomina sobie, jak przed rokiem u wujaszka na wsi zwiedzał hutę szklaną i że robotnicy pracujący w tej hucie, zupełnie tak samo wydymali ze szkła butelki, jak on wydmuchuje bańki mydlane.

Rzeczywiście, butelki, karafki, a nawet zwyczajne szyby do okien przygotowują się w ten sam zupełnie sposób, co bańki mydlane, tylko materiał używany w hutach jest trwalszym od mydlin. Kto wie, może przypadek a nawet zabawa, podobna do tej, jakiej oddawała się Cesia, naprowadziły wynalazcę na pomysł wydmuchiwania naczyń szklanych. Przypadkowi zawdzięczamy wiele użytecznych odkryć, nawet odkrycie wytapiania szkła jest podobno dziełem przypadku. Pliniusz, sławny naturalista rzymski, opowiada, że żeglarze Fenicy, chcąc sobie na brzegu ugotować jadło, wzięli w braku kamieni na ognisko saletrę ze swych okrętów i na niej garuki swe poustawiali. Saletra stopiona w ogniu, zmieszawszy się z piaskiem i popiołem, utworzyła ku dziwowisku żeglarzy błyszczący strumień, który po ostudzeniu stał się pięknym, przezroczystym, jak im się zdawało, kamieniem, a właściwie szkłem.

Michaś nie zdziwiłby się temu, wie bowiem, że szkło otrzymujemy przez stopienie rozmaitych krzemianów, których używamy w postaci kwarcu, piasku lub krzemienia, dodając w miarę potrzeby potażu, sody, wapna i tlenków cyny albo ołowiu. Ale żeglarze Fenicy nie znali mineralogii ani chemii, wiele też zapewne robić musieli doświadczeń, zanim użytkować potrafili swe wypadkowe odkrycie. Na starych egipskich budowlach odnaleziono przed niedawnym czasem obrazy, przedstawiające fabrykację szkła. Są tam więc i huty i wnętrza pieców i co najciekawsze — widzieć można wyrysowanych zupełnie dokładnie robotników, którzy dmuchają w żelazne rurki i wydymają banie szklane, tak jak Michaś siostrzyczce z słomianej dudki mydlany wydął balon.

Te malowidła, tak wiernie przedstawiające fabrykację szkła, nasunęły wątpliwość, czy też istotnie Fenicyanom je

zawdzięczamy? Znajdował się wprawdzie w Tyrze, mieście Fenickiem, szklany posąg Herkulesa, ale znów w Egipcie wykopują dotąd różne szklane naczynia, a nawet szklane trumny, w których leżą nabalsamowane mumie.

— Szklane trumny! to tak jak w bajce o siedmiu karzełkach. No, śpiącej sto lat królowy nie widziałam wprawdzie, ale wiercie mi, huta szklana ciekawszą jest nawet od dziwów opowiadanych w bajkach, spróbuję ją opisać, wprzód jednak dodam jeszcze, że szkło bez względu na to, z Egiptu czy Fenicyi pochodzi, bardzo dawno było znane. Król Salomon wspomina już o czerwonym winie, które w szklane nalewano dzbany. Niestety, fabrykacja szkła poszła potem zupełnie w zapomnienie i dopiero około XV wieku zaczęto szkło wyrabiać na nowo.

— Jakto! więc naprzykład Bolesław Chrobry lub Kazimierz Odnowiciel nie mieli szklanek, butelek, kieliszków?

— Nie, posługiwać się musieli srebrnymi albo glinianymi kubkami, które nigdy szkła nie zastąpią.

— Przecież srebrny kubek jest i kosztowniejszy i piękniejszy od szklanego, może mieć ozdoby — przerwał mi Michaś.

— Tak, ale nie będzie *przezroczystym*. Otóż przezroczystość jest najcenniejszym przymiotem szkła i cechą jemu tylko właściwą. Miło jest widzieć co pijemy, dlatego chętnie używamy szkła, a zawdzięczamy jego przezroczystości i światło naszych mieszkań.

— Prawda, szyby w oknach! jakże jednak robiono dawniej, kiedy ludzie nie umieli czy też zapomnieli robić szkło?

— W południowych krajach Europy otwory okien zasuwano taflami cienko krajanego białego marmuru, lub rogu, a te przepuszczały trochę światła.

— Dziękuję za takie światło, teraz zwłaszcza w listopadzie, gdy dzień pochmurny, nie mógłbym pisać moich zadań — oburzył się Michaś.

— Pewnie, że nie, ale też ówczesni ludzie więcej mieli do czynienia z szablą, niż z piórem. Jeżeli jednak marmurowa tabliczka przepuszczała mało światła, to u nas w Polsce, gdzie nie ma białego marmuru, nie lepiej sobie radzono. Zasłanianie okna pęczkami, a takie oszklenie nie podobałoby się pewnie Michasiowi. Nawet wtedy, kiedy fabrykacja szkła rozpowszechniła się na nowo w Europie, pierwsze szyby nie były wcale do dzisiejszych podobne, ale małe, niezgrabne, najczęściej zielonawego koloru, bo nie umiano jeszcze oddzielać tlenu żelaza od materiałów, służących do wyrobu szkła. Ten zaś tlenek żelaza zabarwia szkło na zielono, co i dziś łatwo widzieć można, bo ordynaryjne, brzydkie szkło bywa zwykle zielonawego koloru.

— Takie więc zielonawe małe szybki oprawiano w ołowiane ramki jedna obok drugiej i w ten sposób szkło na okna, a okna te były zazwyczaj bardzo wąskie, jak to widzieć możecie na rycinach, przedstawiających starożytne zaunki lub kościoły.

Pierwsi Wenecjanie zaczęli na nowo wyrabiać naczynia szklane i doszli w tej sztuce do wielkiej doskonałości. Dziś jeszcze słyną, piękności szkła weneckie, zwłaszcza zaś zwierciadła, których ramy tworzą wieńce z różnokolorowych kwiatów szklanych, do złudzenia naśladowujących naturę. Od XVII w. sztuka wyrabiania przedmiotów szklanych

zakwitła w Czechach, Francji i Anglii, ale, choć nie tak piękne, wyrabiają na swój użytek szkła i wszystkie inne naczynia. W Polsce jest wiele hut szklanych, w których wykwintnych nawet naczyń dostać można, byłoby więc lekkomyślnością sprowadzać szkło z zagranicy, bo kupując w krajowych fabrykach, popieramy przemysł krajowy, t. j. dajemy zarobek miejscowym robotnikom i kupcom. A huty szklane bywają zwykle budowane w okolicy nieurodzajnej, piaszczystej, tam gdzie ziemia roślin chlewnych rodzić nie może, więc fabrykacja szkła daje zarobek pracującym, którym inaczej groziłby może głód.

Nie każdy jednak piasek nadaje się do fabrykacji szkła. Piękne, czyste szkło otrzymujemy z piasku białego, przezroczystego i pozbawionego drobnych kamyków, a tego rodzaju piasek znajduje się tylko w niektórych miejscowościach. Kopalnie tego piasku wyglądają jak wielkie wały śnieżne, ale nawet najczystszy płókać jeszcze trzeba kilkakrotnie w wodzie, zanim pójdzie do pieca.

Spójrzcie na rycinę przedstawiającą hutę. Stoją tam rzędem duże donice z gliny ogniotrwałej, to jest takiej, która w ogniu nie pęka. Ogień zaś dla stopienia szkła użyty, musi być bardzo silny. W donicach właśnie topi się masa na szkło przeznaczona, to jest piasek i inne potrzebne materiały. Ręczę za to, że każdy z was wziąłby te formy gliniane za baby wielkanocne. No, ale nie radzę dotykać tych babek, choć to rzecz bardzo smaczna. Nie radzę, bo parzą. Wiedzą o tem robotnicy, to też zbliżając się do pieca, biorą w rękę długą, na dwa łokcie rurkę drewnianą i zanurzają ją w donicy.

Rurka taka nazywa się „piszczel” lub „cybuch.” Robią więc to, co zrobił Michaś, on także słomianą rurkę zanurzył w miseczkę. Tylko na końcu słomki zawisła kropla mydliu, a na końcu piszczela hutniczego uczepiła się odrobina roztopionej masy szklanej, podobnej do gęstego syropu, z którego się robią karmelki.

Teraz hutnik dmucha w piszczel i wydyma banię podobną do tej, jaką zrobił Michaś. Jeśli szkła na piszczelu jest za mało, to robotnik macza go raz, drugi i trzeci w donicy a potem wydyma, starając się aby ścianki bańki były równe i prawidłowo zarysowane i wyglądając je za pomocą małego sześcianka drewnianego.

Gdy bańka, stygnąc, twardnieje, robotnik ogrzewa ją znów w piecu, a obracając nieustannie, wydmuchuje do odpowiednich rozmiarów i następnie wkłada w formę, ciągle dmuchając. Formy są drewniane, z dwóch części złożone, rozkwierające się; wewnątrz formy odpowiada zewnętrznemu kształtowi wyrabianego naczynia. Pomocnik hutnika macza formę w wodzie i stawia przy nogach majstra. Majster wkłada wydmuchaną szklaną bańkę do formy, formę zamyka i dmie dalej w cybuch, póki szkło formy nie wypełni. Jeśli na naczyniu, w ten sposób przygotowanym, mają być napisy lub znaki, jak to widywaliście na przykład na kubkach przywożonych z Krynicy, to w takim razie hutnik używa formy metalowej, w której wewnątrz właściwe rysunki i napisy już są wryte. Wyrobiona tym sposobem butelka lub inne naczynie trzyma się jeszcze cybucha przy szyjce; dla oddzielenia jej od tego cybucha, czy piszczela, pomocnik nabrawszy trochę gorącego szkła z donicy na koniec pręta żelaznego, dotyka nim dna butelki, która do pręta przywierają. Majster tymczasem dotyka zimnem, mokrem ostrzem

żelaznem do końca szyjki, szyjka pęka, a butelka wyjęta z formy zostaje przyczepiona dnem do pręta. Majster bierze ją, odmiękcza szyjkę w ogniu, obtapia i odwija, albo też paskiem szkła obciąża i butelka gotowa; trzeba jeszcze tylko lekko w nią trącić, żeby pręt odpadł. Potem butelkę odnosi pomocnik do wielkiego, o cienkich ścianach tygla, umieszczonego w piecu studzącym, gdzie powoli ostyga, tygiel bowiem wraz z naczyniami przesuwają w coraz chłodniejsze miejsce. Takie powolne studzenie szkła jest konieczne; przez zachowanie tej ostrożności szkło zostaje zahartowane i przy zmianie temperatury niełatwo pęka, w przeciwnym zaś razie, gdyby szkło szybko studzonym było, od słabego uderzenia, lub nalania gorącej wody prysnąć może z łatwością.

(d. n.)

Jan Niewdzyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Ci, chociaż nibyto ustępowali od Lwowa, zabierali kogo mogli do niewoli, a domy z wszelkiego ograbiali mienia — mówiła, zapalając się własnymi słowy.

— Trzeciego dnia po wyjściu ze Lwowa, udało nam się jakoś dostać do Rebatówki, którą otrzymała w wianie, a w której ciotka gospodarzyła i gospodarzy. Małenka to chudoba, ale jest głowę gdzie złożyć — dodała i dalej mówiła:

— Gdym usłyszała że hetman ciągnie na Turka, nie mogłam usiedzieć doma. Tyle tam rannych, toć bez pomocy zginą niebożątka. I zakrywszy twarz Ulinie, samam toż samo uczyniła i poszłyśmy obie. Tak częścią jadąc, częścią idąc, doszłyśmy do Chocima. Resztę to już wiesz bez mojego opowiadania.

— Lecz wasze domostwo daleko przecie od Chocimia — wtrącił młodzieniec.

— Juźci, że daleko, kiedyśmy przeszło tydzień jechały — rzekła kapitanowa.

— Toć przecie Rebatówka jeno dzień drogi od Lwowa dodała.

Wtem dzwonek z poblizkiego kościoła ogłaszał wierzynym pamiątkę Narodzenia Pańskiego.

Wdowa przerwała opowiadanie i wraz z córką i całą czeladką pospieszyła na nabożeństwo, odbywające się o północy.

Młodzieniec sam pozostał.

I wzniosłszy wzrok pełen wdzięczności i nadziejskiego zachwyty zawołał.

— Boże, Boże, już po raz wtóry czynisz cud nad niegodnym sługą swoim, okazując mu swą nadzwyczajną opiekę w pamiątkowy dzień Narodzenia Chrystusa! Niechajże Ci będzie chwała na ziemi i niebie!

Po dwóch miesiącach młodzieniec opuścił dworek wdowy, przyrzekając, iż jeżeli go kulka nie trafi, wróci by swą dobrodziejkę i jej córkę odwiedzić.

Jechał do Warszawy, bo gdy opuszczał Chocim, kapitan powtórzył mu raz jeszcze rozkaz hetmana i wręczył

pieniądze, pozostawione na drogę, wraz z pismem, które mu miało ułatwić natychmiastowe wejście przed oblicze zwycięzcy.

— Czyż nigdy nie zapracuję tyle, żebym mógł żyć o własnym chlebie! — pomyślał sobie, przyjmując pieniądze.

— Niechaj mi Bóg tylko użyzczy zdrowia, oddam to wszystko usługami swemi, co mi dziś ludzie dają! — I westchnął, postanawiając sobie bądź co bądź, dobić się własną pracą jakiegoś stanowiska, zarazem oddać ów skarb, którego część jeszcze udało mu się zachować.

Gdy stanął w Warszawie w końcu marca 1674 r. miasto wrzało przyspieszonym życiem, zbierano się bowiem na sejm elekcyjny, na dzień 20 go kwietnia naznaczony.

I znów wielu kandydatów przysłało swoich przedstawicieli dla jednania sobie stronników. Tłuny ludzi snuły się po ulicach, a o kącik w jakimkolwiek zajeździe trudno

odrzekł gospodarz niedbale i spojrzął na ubogą odzież swego gościa.

— Bóg zapłać — odrzekł młodzieniec.

I nie pytając o drogę, zabierał się do wyjścia.

— Aleć tam nie każdego wpuszczają! — zawołał za odchodzącym.

Młodzieniec jednak nie zwrócił na to uwagi i poszedł dalej, przypatrując się domom i domkom. Szedł zaś, nie pytając o drogę, znać, że ją nie pierwszy raz przebywał. Z domami zaś witał się jak z dawnymi znajomymi.

Nadłożył nawet drogi, bo skręcił na S-to Jańską i wstąpił do kościoła. Tam padł na kolana przed Ukrzyżowanym i długie, długie zanosił modły.

Pokrzepiony na duchu, skierował się ku zamkowi. Spojrzął na jego milczącą, poważną postać, stanął naprzeciw okien, wpatrywał się w nie czas jakiś, potem westchnął,



Widok ogólny huty (str. 387).

się było dobić. Szlachta bowiem poczęła już ściągać na sejm, a kto nie miał powinowatego lub krewniaka, z wielkim trudem zdobywał jakiś dach nad głową, ile że marcową porą nie sprzyjała do pozostawiania pod gołym niebem. Znalazł wreszcie małą izdebkę na Podwalu, z wybitem i zasłoniętem deską oknem, za którą słono mu kazali zapłacić

Gospodarz, oddając ją, rzekł, przypatrując się przybyłemu.

— Staje tu u mnie szlachta i bardzo zasobna, toć i takiemu młodzieńcowi będzie dobrze. I za temi oto drzwiami stoi szlachcic z synem — dodał, wskazując na drzwi zastawione deską i podparte drągiem.

Młodzieniec zadowolony, że ma gdzie odpocząć, nie zwracał nawet uwagi na gadanie gospodarza. Nazajutrz wczesnym rankiem, przybrawszy się jako tako, zapytał o hetmana.

— Hetmana Sobieskiego? — spytał gospodarz.

— Juści — odrzekł przybyły.

— Toć w prymasowskim zamku na Senatorskiej —

pokiwał głową i nie zatrzymując się już nigdzie, skręcił wprost na Senatorską.

Przybywszy do prymasowskiego pałacu około 9 rano, spotkał się znów z lekceważeniem. A chociaż krew wystąpiła mu na lice, nie odrzekł nic kręcącej się służbie, wyjął jeno z zanadru papier, opatrzony pieczęcią i podał jednemu z poważniejszych dworzan.

Ten przypatrzył się ciekawie pieczęci, potem zmierzył od stóp do głów przybyłego i rzekł.

— Proszę, za mną.

I poprowadził go po szerokich schodach.

Tam oddał papier sekretarzowi hetmańskiemu i skłoniwszy się oddalił na swoje miejsce.

Sekretarz znów zmierzył przybyłego ciekawym wzrokiem i spojrzawszy z uszanowaniem na pieczęć, zamykającą papier oddalił się do przyległej komnaty.

I zaraz usłyszał:

— Wpuść, zaraz wpuść!



Wydymanie bani szklanej. (str. 387).

Odechyliły się też drzwi i przybyły, przestąpiwszy próg, rzucił się do nóg hetmańskich.

— Toć nie ty mnie, ale ja tobie winienem! — rzekł Sobieski, wyciągając rękę do wstającego od jego nóg młodzieńca.

I spojrzawszy na jego tylko co zabliźnione szramy, dodał z wrodzoną sobie dobrocią:

— Aleś poznaczony! I rodzona matka by cię nie poznała!

— A jakże się nazywasz? — zapytał nagle.

— Jan Niewdźyd, szlachcic z pradziada! — odrzekł zapytany.

I sam się zarumienił, uważając, że „szlachcic z pradziada” wyniósł niepotrzebnie, jakby z przyzwyczajenia.

— Choćbyś i nie był szlachcicem z pradziada, toś się sam już uszlachcił — rzekł, uśmiechając się Sobieski. — Zostajesz przy mnie, winienem ci życie, muszę cię na człowieka wykierować, a no zobaczymy!

Okryte szramami lice młodzieńca zajaśniało żywą radością. Skłonił się do nóg hetmana z wdzięcznością, a potem spojrzawszy na niego, miał znać taką minę, jak gdyby chciał o coś zapytać, bo hetman rzekł zmarszczywszy czoło.

— Cóż mój wierzycielu, nie chcesz takiej zapłaty?

— Miłościwy hetmanie, za spełniony obowiązek nie bierze się zapłaty!

— Czegożes spojrzął tak na mnie, jak baran na wilka — zapytał śmiejąc się Sobieski

— Przysięgłem umierającej matce, przysięgi dotąd spełnić nie mogłem.

— Nie chcesz zostać przy mnie?

— Służba przy was, miłościwy hetmanie, to moje

marzenie od lat pacholecych, toć to służba w obronie ojczyzny.

— Więc cóż? mów śmiało! — zawołał Sobieski przypatrując się młodzieńcowi.

Niewdźyd w krótkich wyrazach opowiedział swoje dzieje i tak zakończył:

— Kilkakrotnie prosiłem o oddanie tych papierów, lecz jego excelencya podkanclerzy, jakoś zawsze przepomniał, obiecałem matce, że tych papierów nie zaniecham, boć to skarb naszego rodu...

— Ba, ba! — przywodził zamyślając się Sobieski.

I dodał wesoło:

— Dla tegoś rzekł na wstępie: „szlachcic z pradziada.

I zaraz dodał:

— No, mój szlachcicu, już my tam z podkanclerzym wyszukamy twoich papierów, Bóg da wrócisz z niemi na Mazury.

I oddawszy Niewdźyda pod opiekę pułkownika, Strojnowskiego, zajął się sprawami dnia, które jak fala wraz z ludźmi i wieściami napływały do komnaty zwycięzcy.

Niewdźyd, mając się przenieść do kwatery dlań wyznaczonej, pobiegł do swojej izdebki na Podwalu, gdy w progu domostwa spotkał kilku, różnego wieku szlachty.

Spojrzawszy na jednego z nich zawołał:

— Filip!

I rozwarł ramiona do uścisku.

Młodzieniec szeroko oczy otworzył, spojrzął uważnie i z wielkiem zdziwieniem zawołał:

— Jasiek! jak mi Bóg miły, Jasiek!

(d. n.)

Do pow. „Rozbójnik morski.”



Korsarze napadają na statek portugalski.

ROZBÓJNIK MORSKI.

Opracowała P. Gr.

(Dalszy ciąg).

Rozdrażniony tym zawodem kapitan w strasznym gniewie przechadzał się po pokładzie; dopiero około północy zszedł do kajuty i legł na posłaniu. Przyśniła mu się matka Franceska, czyniąca mu wyrzuty za postępowanie jego z synem, a Kain miał zwyczaj mówienia przez sen. Gdy po dwunastej młody chłopiec w towarzystwie wiernego Pompejusza wsunęli się cichaczem do kajuty kapitana, dla zabrania zostawionych tam przez Franceska pistoletów, doszły ich uszu słowa we śnie przez Kaina wymawiane:

— Nie, kobieto! — proszę twoje nie będą wysłuchane; — ja ciebie doprowadziłem do grobu — i on...

Francesko blady z przerażenia, nachylił się nad śpiącym.

— Chłopcze, nie proś daremnie — szeptał Kain — byłem sprawcą śmierci twojej matki i ciebie ukarzę.

— To strasne! — zawołał Francesko głosem drżącym — czy istotnie jesteś zabójcą mojej nieszczęśliwej matki?

— Ona przezemnie umarła — odpowiedział, ciągle jeszcze przez sen kapitan.

— Nędzniku! zatem przyznajesz się do winy — krzyknął Francesko tak głośno, że Kain zerwał się z posłania.

— Kto tam! kto tam! — wołał z przerażeniem, nie odzyskawszy jeszcze zupełnej przytomności.

Majtek, trzymający straż na pokładzie, przybiegł na wezwanie, ale Pompejusz, położywszy przeźornie rękę na ustach Franceska, wyprowadził go pierwszej niepostrzeżenie z kajuty.

— Taka niesubordynacja nie może być dłużej znoszona — mówił nazajutrz Hawkins do Kaina. — Murzyni, zarażeni złym przykładem, zbuntowali się i dziś nie stanęli do apelu. Jeśli więc ten chłopiec nie poniesie zasłużonej kary, ty za niego kapitanie odpokutować możesz i wszyscy gotowi wypowiedzieć ci posłuszeństwo.

— Zwołaj zatem załogę i niech ona rozstrzyga o losie Franceska.

— Moi chłopcy — mówił Hawkins do zgromadzonych — znacie surowość praw, które każdy z nas przysięgł szanować. Nieposłuszeństwo wobec położonych śmiercią karane być musi. Tymczasem tego nieposłuszeństwa coraz częściej dopuszczają się chłopiec, który był przedmiotem wyjątkowych starań i uczuć kapitana. Franceska wychował kapitan od małego, kochał go jak syna, a teraz on opiera się wszystkim jego rozkazom, szkodzi nam w każdym przedsięwzięciu, buntuje ludzi; sami więc osądźcie jak ukarać go należy.

— Niech umiera, niech ginie! — wołali jedni.

— Nie! nie! dosyć już tego! — dowodzili drudzy — już się do zbytku wczoraj napatrzyli.

Zaczęto kłócić się i chycono za broń; utworzyły się dwa stronnictwa, na czele Murzynów i przychylnych mu majtków stanął Francesko, drugim przewodził Hawkins.

— Zanim zechcecie stosować do mnie całą surowość niecnych praw waszych — odezwał się młody człowiek do przeciwników — powiedzcie, czy wśród tych praw nie istnieje jedno, które głosi, że „krwią za krew” się płaci?

— Tak jest, tak! — wołali chórem rozbójnicy.

— Niech zatem kapitan wystąpi, a zobaczymy, czy poważny się zaprzeczyć oskarżeniu memu.

Kain, zdumiony śmiałością Franceska, nie rozumiejąc

do czego zmierza, stanął tuż przed nim z groźnym marszem na czole i rzekł:

— Jestem, cóż masz mi do zarzucenia?

— Przedewszystkiem ciebie jeszcze chcę zapytać, czy uznajesz owo prawo?

— Uznaję najzupełniej — odparł Kain — kto mści się za krew przelaną, tego korsarze potępiać nie mogą.

— Zgoda; odpowiadaj zatem, czy nie ty zabiłeś moją matkę?

Na te słowa kapitan drgnął cały i w tył się cofnął.

— Czy ty byłeś zabójcą mojej matki? — powtórzył Francesko, — mów prawdę, jeśli nie jesteś nikczemnym tchórzem.

Twarz Kaina zadrgała nerwowo, ale nie wyrzekł ani jednego słowa, zachwiał się i upadł nieprzytomny.

— On sam przyznał się we śnie do tej zbrodni — tłumaczył młody człowiek gromadce przychylnych mu ludzi.

Przeniesiono Kaina do kajuty, z raną w głowie która choć głęboka, śmiertelną nie była, a Hawkins powróciwszy na pokład, spostrzegł ze zdumieniem, że większa część załogi zamiast potępić młodego chłopca, przyznawała mu słusność, iż wystąpił tak śmiało przeciw dowódcy który go krzywdził.

— Hawkinsie — odezwał się Francesko — chcę zakończyć wszystkie moje stosunki z kapitanem. Władźcie mnie na brzeg pierwszego lądu, jaki napotkamy. Jeśli za dość uczynicie żądaniu temu, to zbuntowanych i trzymających moją stronę Murzynów skłonię do posłuszeństwa i uległości.

— Godzę się na to — rzekł Hawkins — a wy, towarzysze, jakiego jesteście zdania?

— Przyzwalamy, przyzwalamy — wołali rozbójnicy jednogłośnie.

Starszy sternik wiedział, że dane wobec załogi przyrzeczenie, spełnić musi, inaczej naraziłby się towarzyszom; wśród korsarzy nawet bywa coś w rodzaju honoru, co im nakazuje dotrzymywać danego słowa.

Hawkins długo oglądał mapę w kajucie kapitana; nazajutrz rano wszedł na sam wierzchołek masztu, aby dokładniej rozejrzeć się po okolicy, a następnie zmienił kierunek okrętu. Około 9-ej godziny ukazało się w dali piaszczyste wybrzeże. Gdy „Mściciel” dopłynął do niego na odległość pół mili, sternik rozkazał spuścić małą łódź na morze.

— Musimy dotrzymać obietnicy naszej i wysadzić Franceska na brzeg pierwszego napotkanego lądu — mówił z szatańskim uśmiechem na ustach, wskazując na pustą, bezludną wyspę, gdzie porzuconego człowieka czekała niechybnie śmierć głodowa.

Część załogi szenerać zaczęła, ale stronnicy Hawkinsa stanęli w jego obronie, dowodząc:

— Umowa jest umową; ma to, czego sam chciałem.

— Niech i tak będzie — odezwał się Francesko — przekładam bezludną wyspę nad wasze zbójcekie towarzystwo. Idę zabrać tylko moje rzeczy.

— To nie było zastrzeżone — rzekł Hawkins.

— Każdy ma przecież prawo do swojej własności — odparł młody człowiek, a gdy majtkowie poparli jego żądanie i skrzynkę z rzeczami umieścili w łodzi, dodał:

— Zaopatrzyć mnie także w zapasy żywności i wodę słodką.

Mimo oporu Hawkinsa, Murzyni wstawili do łodzi dwie beczki z wodą, faskę z pekefleiszem i wór sucharów.

— Masz to massa — mówił Pompejusz, wciskając pokryjomu młodemu chłopcu w rękę sznur z wędką na ryby.

— Dziękuję ci, poczciwy przyjacielu — rzekł Francesko — ale zapomniałem jeszcze najważniejszej rzeczy: Pisma świętego i książki do nabożeństwa.

— Nie ma czasu do stracenia — nalegał Hawkins — siadaj prędko do łodzi.

W rozbójnikach budzić się zaczęło uczucie litości dla porzuconego na bezludnej wyspie młodzieńca; jeden z nich ofiarował się przewieźć go na ląd.

— Niema miejsca dla nas dwóch — dowodził Francesko — muszę sobie sam dać radę, bywajcie zdrowi.

— Halt! — krzyknął Hawkins — tak nie idzie! Łodzi nie możesz zatrzymywać, gotów jesteś uciec na niej z wyspy.

— Czemuż nie miałby tego zrobić? — wołali niektórzy — nie odbierać mu łodzi!

— Massa Francesko, twoje książki — odezwał się Pompejusz.

— Co to jest? — pytał Hawkins, wrywając Murzynowi książkę z ręki.

— Oddaj mi książkę — prosił Francesko.

— Nie będziesz jej miał — odparł zbój z zawziętością i cisnął książkę w morze.

Francesko wskoczył do łodzi, wiosłem odepchnął ją od okrętu, pochwycił przemoczoną, ale pływającą po wierzchu książkę, potem skierował się z wolna ku bezludnej wyspie; zanim dosięgnął brzegu, „Mściciel” znikł mu z oczu.

VII. Na bezbrzeżnej toni.

Znalazłszy się na pustej wyspie, Francesko czas jakiś ścigał wzrokiem niewidzialny już statek, potem wpadł w smutną zadumę, póki dopiekające promienie słońca nie przypomniały mu o strasznym jego położeniu. Postanowił nie upadać na duchu, złemu śmiało stawić czoło i zaufać Opatrzności Bożej. Przyciągnął łódkę do brzegu, a przywiązawszy do niej sznur od wędki, założył go na wiosło, głęboko zasadzone w ziemię. Następnie rozejrzał się dokoła po swojej wysepce. Było to małe, piaszczyste wzgórze, zaledwie 15 stóp wyniesione nad poziom morza, z maleńkiem wzgórzem pośrodku.

Na ten szczyt najwyższy przeniósł Francesko całe swoje mienie i z niemałym wysiłkiem zdołał tam nawet zaciągnąć łódź swoją. Zmęczony, zgrzany, ochłodził się, pijąc wodę z beczki, ale umysł dokuczał coraz bardziej, należało więc koniecznie obmyśleć jakieś schronienie. Chłopiec obrócił łódź do góry dnem, schował pod nią zapasy żywności i sam wczółgał się do środka, zamierzając pod tem pokryciem przeleżeć do wieczora.

Pierwej jednak wyjął z kuferka mapę, a że pamiętał długość i szerokość geograficzną, na której znajdował się w południe „Mściciel,” dowiedział się z łatwością, że wysepka ta musiała być jedną z łańcucha ciągnącego się wzdłuż wybrzeży Loango, i że oddalona była o jakie 700 mil morskich od wyspy Sw. Tomasza, dokąd zawijali czasem Europejczycy. Jedynym tedy promykiem nadziei dla biednego chłopca, była możność ukazania się jakiego kupieckiego statku, poszukującego w tych stronach złotego piasku, lub kości słońcowej.

Francesco, chroniąc się przed palącymi promieniami słońca, leżał długie godziny pod łodzią, ale i tam dusił się prawie z braku powietrza, z nadejściem więc nocy opuścił kryjówkę swoją i zszedł w dół na wybrzeże. Niebawem też usłyszał w górnych warstwach powietrza szum, zwiastujący burzę; ciemne chmury gromadziły się na niebie, wiatr silny dąć zaczął, zdala dochodziły już odgłosy grzmotów. Wreszcie huragan wybuchnął z całą gwałtownością.

Pierwsze uderzenie wiatru było tak potężne, że powaliło Franceska na ziemię.

Chłopiec uniósł głowę i widział tylko przed sobą tumany wirującego piasku i nad morzem słupy kłębiącej się wody. Deszcz lunął z taką gwałtownością, jakby sklepienie niebios rozwarło się w górze. Francesko rozumiał, że przed napływającą falą trzeba uciekać i szukać schronienia na wierzchołku wzgórze, gdzie zaciągnął łódkę i skrzynkę z rzeczami.

Oślepiiony zalewającym mu oczy deszczem, szedł z trudnością, aż potknął się wreszcie o jakiś przedmiot stojący

na drodze, był to jego kuferek, o którego róg uderzył głową, ale łodzi nie dojrzał ani śladu, zepchnął ją pęd wiatru a fala uniosła bezpowrotnie; z nią znikła wszelka nadzieja ratunku; nieszczęśliwy chłopiec uniknął grożących mu zatopieniem bałwanów morskich, aby za dni parę zginąć straszną śmiercią głodową.

Uderzenie czołem o róg kuferka i przerażenie doznane z powodu utraty łodzi, pozbawiło Franceska na czas jakiś przytomności; leżał dłuższą chwilę jakby w omdleniu. Gdy odzyskał zmysły, morze było jeszcze tak wzburzone, że huk bałwanów przewyższał huk burzy a woda dochodziła już prawie do najwyższego punktu wysepki; chłopcu nie pozostało nic innego, jak tylko przygotować się do śmierci.

Na szczęście rozjaśniło się niebo, przycichła burza i minęło niebezpieczeństwo natychmiastowej zagłady; cóż jednak na tem mógł zyskać, zamiast prędkiego zgonu w nurtach spienionej fali, czeka go długie, powolne konanie z głodu i pragnienia, pod palącymi promieniami zwrotnikowego słońca. Myśląc o tem, ukrył twarz w dłoniach i modlił się gorąco; „Panie, niech się stanie wola Twoja, ale zmiłuj się nademną, dozwól, niech woda podnosi się coraz wyżej, ponad szczyt wzgórze.

Prośba ta jednak nie miała być wysłuchaną; wiatr złagodniał i fala z wolna ustępować zaczęła. Na wschodzie zaróżowiło się niebo a przy pierwszym brzasku dziennym oczy zrozpaczonego młodzieńca dostrzegły czarną jakąś bryłę, pływającą po morzu.

Był to okręt czyli raczej szczątki okrętu z jednym, jedynym pozostałym masztem; fale niosły go ku piaszczystemu wybrzeżu, kołyszac tak silnie, że chwilami statek chował się prawie pod wodę i znowu na wierzch wypływał.

— Ten okręt zgubiony — myślał Francesko — rozbije się o ląd, którego żeglarze nie widzą.

I zapominając o własnym smutnym położeniu, chłopiec byłby rad znakiem jakim ostrzedz przybyszów o grożącym im niebezpieczeństwie.

Francesko wkrótce mógł już dostrzedz ludzi biegających po pokładzie, ale daremnie czynił znaki rękami, nie zwracano na nie uwagi, a szum bałwanów tłumił głos jego. Dopiero w odległości kilkunastu sążni od wybrzeża, załoga statku dostrzegła niebezpieczeństwo. Było zapóźno myśleć o ratunku. Nastąpiło silne uderzenie, maszt przechylił się na bok i szumiące bałwany dokończyły dzieła zniszczenia.

Francesko nie spuszczał z oczu tonącego statku; na pokładzie ukazała się gromada czarnych Murzynów, wierzonych prawdopodobnie jako towar na sprzedaż i wypuszczonych na wolność w chwili grożącego niebezpieczeństwa. Każdy już tylko myślał o ratowaniu własnego życia, a gdy okręt ostatecznie pogrzyził się w otchłani oceanu, spienione fale zaroily się od czarnych głów Murzynów, usiłujących dopłynąć do brzegu. Był to obraz strasznej walki słabych sił ludzkich z potężnym żywiołem.

Nie mogąc dłużej patrzeć beczynnym na te śmiertelne zapasy nieszczęśliwych ludzi, Francesko pobiegł na brzeg i koniec jeden linki pozostałej od łódki rzucał znajdującym się bliżej. Starania jego nie były bezowocne: piętnastu Murzynom ułatwił przybicie do brzegu. Lubo wyczerpani długą walką, po chwili odzyskiwali zmysły, a silniejsi, pod wpływem ciepła słonecznego, prędzej przychodząc do siebie, mogli nawet pomagać młodemu chłopcu w niesieniu drugimi ratunku.

Pomoc ta jednak nie na wiele już się przydała; ułamki masztów i belek z rozbitego okrętu zasłały wybrzeże, a reszta rozbitków tylko zmiłowania Bożego potrzebować mogła. Z uratowanymi Murzynami Francesko próbował porozumieć się na mięgi, ale mu się to nie udawało. Przyniósł im tylko w naczyniu wody z beczki, którą pili chciwie; woda słodka bowiem i rzadko i w małych porcjach wydzielaną bywała niewolnikom, chłopiec więc musiał trzykrotnie naczynie napełniać, zanim wszystkich napoił, następnie dał zgłodniałym po parę sucharów, ale zrozumiawszy, że tem

ich nie nasyci, że dzicy gotowi rzucić się na jego zapasy żywności i w jednej chwili ogołocić go zupełnie, skorzystał z tego, że zajęci byli jedzeniem na wybrzeżu i zakopał beczki z wodą i faskę z mięsem na pół łokcia głęboko, aby je ukryć przed pożądlivością rozbitków.

Zanim jednak słońce zaszło, Francesko miał już w głowie plan do podróży gotowy; umyślił ze szczytków belek okrętowych zbić tratwę i na niej, z pomocą Murzynów, próbować dopłynąć do stałego lądu. Z tą myślą położył się i, poleciwszy się opiece Wszechmocnego Boga, zasnął głęboko.

(d. c. n.)

Drugi list Janka Ż. do Redakcyi „Wieczorów.”

Szanowna Redakcyo! Nadarza mi się wyborna sposobność wysłania listu do Europy, korzystam z niej i załączam garstkę moich notatek, które może zajmą moich kolegów Jaguara, Orła, Konika i przypomną im Strusia.

10 października 1799 r. Johannesburg.

Wojna czy pokój? Dowiemy się o tem dziś jeszcze. Rząd Transwaalski wysłał do Londynu ostatnie warunki zgody. Redakcyje pism obleżone, wszyscy wyczekują odpowiedzi. Dzięki drutom telegraficznym przyjdzie ona za kilka godzin. Miasto wyległo na ulice, ogrody publiczne przepełnione, bo wiosna tu w całej pełni, natura odżyła, a ludzie niestety chcą się zabijać!...

11 października. Wojna! Anglia odrzuciła warunki pokoju, więc wojna. Wczoraj gdy ogłoszono ją na ulicach miasta sądziłem, że nieprzyjacieli już się zbliża. Ktoś zatrzasnął drzwi, byłem pewny, że to armaty zaczynają grać na zwykłą swą nutę: bum! bum! bum! Dziś wszystko co żyje na nogach, miasto pełne Boerów przybyłych z ferm; zniknęli gdzieś cudzoziemcy, ulicami przeciągają gromady mężczyzn, uzbrojonych na prędee. Wszyscy zdolni do boju od 16-u do 60 roku życia stają w szeregach. Dzielni chłopci, ci umieją bronić swej niepodległości. Na placu przed arsenałem gromadzi się wojsko, chorążowie rozwinęli sztandary, a na ten widok tłum, zarówno mężczyźni jak kobiety i dzieci, śpiewają hymn narodowy. Bębny huczą, gra muzyka, formują się szeregi żołnierzy, komendant daje znak wymarszu. Trap, trap, trap, idzie kolumna za kolumną, wszystkie na południe do granicy Natalu. Tam, na terytorium angielskiem będzie wojna. Pędząc za wojskiem i krzycząc, aż ochrzypłem, za co potem złażał mnie tatko. Już żołnierze zniknęli za wzgórzami, ja biegłem jeszcze, biegli i inni chłopcy w moim wieku, tylko oni silni, więc dalej biedz mogli. Nagle padł strzał. Myślemy, że to już

bitwa, nie to czarny Kafr zabił jaguara w zaroślach (czy też Jaguarze, kolego, czytać to będziesz?) Kafrowie pewno się cieszą z wojny białych. Ale to smutno, ja i czarnych wszystkich lubię, zwłaszcza Mungę naszego kucharza.

12 października. Boerowie przeszli granice Natalu, po ulicach okrzykują tę wiadomość, zapewne więc Johannesburg nie zaraz zostanie obleżony, a ja już w tajemnicy przed ojcem naradzałem się z Mungą, jak gromadzić zapasy żywności. W czasie obleżenia Paryża Francuzi, choć są wybredniejsi, jedli koty, a nawet szczury, i świec łożowych używali zamiast masła. Opowiedziałem to Mungowi, ale on się śmieje, pokazując białe zęby. Wolalby pewnie zjeść Zulusa niż szczura, na to znów ja zgodzić się nie mogę, on nie nawidzi Zulusów. Czemuż ta nienawiść? jakie to jednak smutne, dla mnie zwłaszcza; mnie mama uczyła zawsze, że wszyscy bliźni są naszymi braćmi.

14 października. Czytałem dziś gazetę angielską, bo poczty tu wybornie urządzone. Przez Suez, ocean Indyjski i odnogę Delagoa dochodzą nas wiadomości z Europy. Żal mi Boerów, ich garstka, a Anglików tak wielu; i tyle okrętów naładowanych armatami płynie do Afryki! Strach pomyśleć. A jednak Dawid pokonał Goliata. No i Xerkses posiadał moc okrętów, kazał chłostać morze różgami, a przecież Bóg skruszył jego potęgę! To mnie pociesza, bo żal byłoby mi Boerów. Choć żal i Anglików, naturalnie tych co tu płynąć muszą, nie tych przecie co ich wysyłają. Ale jaki wstyd będzie dla nich w razie niepowodzenia! O wstyd mniejsza, ale tyle nieszczęść, tyle śmierci, a ja już wiem, co to znaczy stracić ukochaną osobę, bo moja mama nie żyje.

(d. n.)

Od Warszawskiego Szpitalika dla dzieci.

Uroczyste Święto Narodzenia Jezusa Chrystusa obok wzniosłej idei religijnej, upowszechniło zwyczaj obdarzania się w rodzinnem gronie upominkami, z czego przeważnie korzysta dźwignia. Nie wszystkim jednak zarówno sprzyja szczęście, ileż to bowiem jest dzieci biednych, chorych, opuszczonych. W ich to imieniu odwołujemy się do tych dzieci szczęśliwych z prośbą, ażeby rozbudziły w swoich serduszkach poczucie litości dla biednych i przyszły z pomocą za pozwoleniem swych rodziców lub opiekunów, z ofiarą w naturze, składając zużyte przedmioty jak: zabawki, ubranie, bieliznę i t. p. na użytek dzieci, wychodzących ze Szpitala, a co przyjmować będzie z wdzięcznością Starsza Siostra Miłosierdzia w Szpitalu dla dzieci przy ulicy Aleksandrya Nr. 25.

Redakcyja Wieczorów również chętnie pośredniczyć może w przyjmowaniu tych ofiar.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Ś. p. Ks. Szymon Kozłowski (z portretem). — Z dobrych rad, wiersz przez Ig. Balińskiego. — Z dziejów cywilizacji (z ryc.) — Jan Niewdzyd, powieść z dawnych czasów przez Zuzannę Morawską. — Rozbójnik morski, opracowała P. Gr. (z ryc.) — Drugi list Janka Ż. do Redakcyi „Wieczorów” (z ryc.) — Dodatek: Mały rycerz przez M. D. (z ryc.) — Ułatwiona lekcya geografii. — Kiki i moi siostrzeńcy. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Słuczone garnki, komedjka w 4-ach aktach przez J. Osekę.

WIECZORY RODZINNE

MAŁY RYCERZ.

przez M. D.

(Dalszy ciąg).



O, nie myśl brzydki psotniku, byś tak mógł broić bez końca, oto już ciągnie za tobą rycerz, niewinnych obrońca. Nie zna on strachu ni trwogi, walczy odważnie i śmiało, jako w rycerskim zawodzie walczyć każdemu przystało. Miecz w jego dłoni połyska i tarczy użyć też umie, jak przeciwnika pokonać, on to najlepiej rozumie. Lecz wie, że wstyd to, nie chwala, napaść zniecka, zdradziec-



ko, więc kiedy Feliś za wierzwą Heluni jabłka spożywa, on przed nim staje poważnie i słowa takimi wzywa:

— Oddaj, szkaradny chłopaku, koszyk i lalkę skradzioną, a za niegodny postępek chodź karę wziąć zasłużoną!

Zrozumiał Feliś, że niema dla niego wyjścia innego; ucieczka trudnąby była — więc na rycerza naszego ze straszną złością się rzuca. Zwarły się w walce ich ciała, lecz dla Felisia zwycięstwa nadzieja bardzo jest mała; rycerz odważny i dzielny w zapasach wiele ma wprawy, a sił mu głównie dodaje myśl o słuszności swej sprawy.

Patrzcie!... już Feliś się chwieje — jak długi na ziemię pada i prosząc o przebaczenie pokornie ręce swe składa. Rycerz na pierś stopę stawia, jak pono zwyczaj jest stary i takie pokonanemu dyktuje warunki kary.

(d. n.)

Ułatwiona lekcja geografii.

(Dalszy ciąg).

— A to co?—pytał Janek jakby sam siebie, gdy minęli gromadę wysp Szetlandzkich.

— Faroër czyli wyspy Owce, posiadłość Duńska — tłumaczyła znów książka, zadowolona ze swej wiedzy i wielce rada, iż przekonać może chłopca o swej wartości i pożytku.

Tymczasem robiło się coraz zimniej i zimniej. Janek drżał na całym ciele, przeciwnie, fruujące obok niego puchowe piórka, zdawało się, że ożyły w tej ostrej atmosferze. zaczęły się kręcić z uciechy, że oglądają miejsca, gdzie spędziły młode swe lata.

— Islandya! Islandya! — zachichotały wreszcie jednogłośnie, a książka skinęła na znak potwierdzenia.

Przybyli do lądu. Spojrzawszy na Janka, drobniutkie jego towarzyski powiadają: zziąbł biedny chłopczyzna, nieśmy go, nieśmy prędzej na tę wysoką górę, tam się rozgrzeje.

I pofrunęły z nim na odosobnioną i śniegiem pokrytą górę. Z okrągłego jej otworu, znajdującego się na samym szczycie, wydobywały się kłęby gęstego dymu.

Skoro tu stanęli, uczył chłopiec, że wraz z ciepłem nowe w niego wstępuje życie, postąpił kilkanaście kroków i z wielkiem zajęciem przypatrywał się dymiącej Hekli.

— Jakie to osobliwe! — myślał — ogień w połączeniu ze śniegiem, wczoraj nie zwróciło to mojej uwagi, gdy się uczyłem o tym wulkanie.

Niebawem ogarnęło Janka jakieś znużenie, a gdy się zawrócił do zejścia, szepnęła książka: Lećmy teraz w stronę Rejkiawiku; niema tam wprawdzie żadnych do

oglądania osobliwości, ale zawsze jedyne to miasto w Islandyi.

Chłopiec uśmiechnął się, pomnąc, jak długo wczoraj nie mógł zapamiętać nazwy tego miasta, teraz już jej nie zapomni. Wiedział jednak, że tu jest rezydencja biskupa i wielkorządcy, tylko był w kłopotcie co do liczby mieszkańców.

— 1800, uprzejmie odpowiedziała książka.

Gdy opuścili stolicę Islandyi, niebawem przedstawiła się ich oczom obszerna, nagimi skałami opasana dolina; z jednej strony oświecały ją w tej chwili promienie słońca. Tu na pustym obszarze ujrzał Janek w jednym punkcie wydobywający się z pod ziemi gęsty tuman pary. Gdy się weń wpatrzył, zamyślony o tem, co by to być mogło, strzela naraz z tego punktu słup wody i rozpryskuje się wysoko w powietrzu, nakształt puszczonej fontanny.

— Gejzer! jaki wspaniały naturalny wodotrysk — domyślił się Janek.

Na podobne fontanny wody wrzącej natrafiali tu nie raz jeszcze, co prawdziwym chłopcu wydało się cudem wśród tej lodami otoczonej wyspy. Niektóre z nich try skały tak wysoko, że wierzchołka ich trudno było dojrzeć.

W miarę jak postępowano naprzód, zwężyła się równina. Strome skały, nagie góry, poważny, a nawet smutny tworzyły widok. Nigdzie żadnej roślinności, ani śladu życia, wokoło milczenie. Tylko skaliste szczyty gór, w fantastycznych kształtach, jak blade widma spoglądały w przepaść.

Jankowi ciężko zrobiło się na sercu, strach go jakiś opanował. Głucha ta samotność, pełna majestatu, wydała mu się nieznośną.

— Uciekajmy stąd czempredzej — prosił z naleganiem.

Życzeniu jego jednakże nie zaraz stało się zadość, zaledwie bowiem wydostali się z milczącego królestwa skamieniałości, weszli na równie pustą wyżynę, na której powiał wiatr lodowaty tak ostry, że Janek uczył ból w twarzy, jakby od ukięcia tysiąca szpilek pochodzący.

— Dawnemi czasy rosły na tej wyspie drzewa — prawy chłopcu edredonowe piórka — wówczas nie było tu tak zimno. A książka potwierdziła tę prawdę, kończąc temi słowy:

— W obecnych czasach tylko wybrzeża wyspy Islandyi mogą być przez ludzi zamieszkałe.

Skończyło się wreszcie przejście najprzykrzejsze. Dotarli do wybrzeża, o które były z szumem fale oceanu. W pewnej odległości od tegoż, rozrzucone były ubogie chaty rybackie. Spojrzawszy w dal na prawo, Janek zauważył coś nakształt białego, olbrzymiego wienca, rzuconego na skały, które w tem miejscu pochylając się ku wodom, tworzyły płaskowzgórze.

— Może to piana morska, która w przypiływie, osiadając na lądzie, w takie ułożyła się kształty?

Wtem rozległ się strzał z łodzi; na ten odgłos rozerwał się biały wieniec, nieprzeliczone mnóstwo ptaków z trwożnym wrzaskiem przeniosło się na inne miejsce.

(d n.)

KIKS I MOI SIOSTRZEŃCY.

(Dalszy ciąg.)

— Oj! będzie też dzisiaj śnieg padał — zapowiadał stary Ignacy, który się znał na pogodzie. — Nad wieczorem dopiero zacznie, a jeżeli i wiatr się zerwie, dopiero to będzie porządna zawierucha.

— Ach! jakbym ja pragnął być kiedy w drodze podczas zadyмки i zabiłakać się wśród pola! — zawołał Tadzio.

— I ja także chciałbym być — wtrącił Gucio, zaw sze pewny siebie. — Pokazałbym ci, którądy masz jechać, alboż ja drogi nie znam? albo co?

— Niech was Bóg chroni od takiego przypadku — odpowiedział Ignacy — toć to na śmierć zmarznąć można, a jeśli nie życie, to nos albo uszy stracić od mrozu. A drogę to tak zasypie, że i najstarszy furman zmylić ją może.

Rzekłszy to, poszedł stary do swej roboty, a dzieci do pokoju, zwanego szkołą. Starsi chłopcy usiedli przy stoleku założonym kajetami, książkami i różnemi przyborami do pisania. Tadzio zatkał sobie uszy rękami i pilnie uczył się historii, Gucio starannie przepisywał zadanie z kaligrafii. Przez otwarte drzwi widać było Helusię, która szła sukienkę dla lalki, siedząc na małym stołeczku przy mamie. Mama zaś opowiadała coś półgłosem. Opowiadania tego słuchał także i Broniek i równocześnie na podłodze domki z drewnianych cegiełek układał.

Kiks przeszedł aż do przyległego pokoju, gdzie mały Stasiek spał smacznie, uśmiechając się przez sen.

Jego różowa buzia wyglądała jak kwiatek na białej poduszeczce. Kiks, zrobiwszy przegląd ogólny, uznał z zadowoleniem, że wszystko jest jak należy i że on może się przespać trochę. Lecz w ciemnym przedpokoju, gdzie stało jego posłanie, było za smutno, ujął więc koszyk swój zębami, przeciągnął go do pokoju pani i ułożył się u stóp Heluni, bo Kiksowi ciężyła samotność i lubił towarzystwo osób, których przyjaźni był pewien. Te godziny, w których dzieci pracą były zajęte, miały i dla niego wiele uroku. Na kominku trzaskał wesoły ogień, rozsyłając rozkoszne ciepło w najdalsze zakątki pokoju.

Nagle sen Kiksa stał się niespokojny, na podwórzu rozległo się szczekanie psów i jakiś głos wołający o pomoc.

Jakby iskrą elektryczną poruszony, zerwał się Kiks i podskoczył z posłania, a za nim wszystkie dzieci opuściły swe zajęcia. Ale przez zamrożone okno nie zobaczyć nie było można, tylko jeszcze wyraźniej słyszeć się dawały ujadania psów gwałtowne.

— Mamo, psy chcą kogoś pokaleczyć — wołał Gucio, a tymczasem Tadzio wybiegł już, jak stał, na ganek, nie dbając o zaziębienie.

Przez zasypany śniegiem dziedziniec, od strony bramy wjazdowej, szedł powoli, bo opędzając się przed psami, jakiś mały człowieczek.

Psy ustąpiły na wołanie Tadzia, a przybysz śmieje zbliżył się do ganku. Był to dwunastoletni chłopczyk o bladej, mizernej twarzy. Ubranie jego, niedostateczne

na mróz taki ciężki, zdradzało ubóstwo, w oczach miał wyraz roztropności i silnej woli.

— Kto jesteś? — spytał przybysza Tadzio — i co cię o tej porze do nas sprowadza? Ale proszę, wejdz najprzód do domu. Tam mi odpowiesz.

— Ja do pana doktora z wielką prośbą — rzekł nieśmiało chłopczyzna.

Bo trzeba wiedzieć, że pan Bogusławski, ojciec naszych znajomych, choć od lat kilku mieszkał na wsi wraz ze swą rodziną, był lekarzem, jeszcze i teraz nie zupełnie się wyrzekł swego zawodu.

Wiedziano w okolicy, że w razie choroby i trudności dostania innego lekarza, nie odmawiał, zwłaszcza ubogim ludziom swojej rady.

— Ojciec jest w domu, zaraz go poproszę. Albo raczej chodźmy do jego pokoju.

Obcy chłopczyzna otrzepawszy śnieg z butów i ubrania, udał się za Tadzim do pana Bogusławskiego, który przy biurku swoim zajęty był czytaniem.

— Cóż to za gościa przyprowadzacie mi, moje synki, bo i Gucio się do nich przyłączył, a zwróciwszy się do przybysza z tą życzliwością, która ośmielała i zjednywała mu serca, jał wypytywać chłopczykę. Okazało się, że matka jego w sąsiedniej wsi zamieszkała, ciężko zaśląbła, Nie było w miejscu lekarza, nie było koni, żeby posłać do miasteczka. Ale miłosierdzie doktora Bogusławskiego znane było Antosiovi, więc choć to droga była dość daleka, jeszcze na mróz i pod wieczór, puścił się odważnie, jako syn kochający. Jakiś włościanin jadący w tę stronę, podwiózł go spory kawał i wskazał, którądy dalej iść potrzeba. Tym sposobem dość prędko nawet dostał się do upragnionego celu.

Teraz należało mu tylko pana doktora ubłagać, żeby był taki dobry i do nich pojechał, a matula jak będą mogli, to się mu wywdzięczą, gdy wrócą do zdrowia, pracą swą, bo matuś i szyją i piorą ślicznie! On zaś nic jeszcze nie umie, ale prosić będzie Pana Boga, by panu doktorowi i jego rodzinie zawsze błogostawił.

Tu Antoś ucałował rękę pana Bogusławskiego, a w oczach miał wyraz niespokojny, jakby się odmowy obawiał. Obawa ta była płonna, bo pan Bogusławski nawet nie zawahał się na chwilę. Zaraz też zaczął się zabierać do drogi, a synkom polecił, by nakarmili i ogrzali Antosia.

— Za pół godziny pojedziemy, mój zuchu. Bądź gotów.

Chłopcy wzięli Antosia pod swoją opiekę, zaprowadzili go do jadalnego pokoju, zapoznali z mamą, rodzeństwem i Kiksem. Helunia przyniosła mu pozostałej z obiadu gorącej zupy i mięsa kawałek. Gdy zjadł i wypił, musiał jeszcze różne szczegóły ze swego życia opowiadać, bo dzieci bardzo zajęły się jego losem.

Pani Bogusławska, przysłuchując się rozmowie, spoglądała często ku oknu. Na dworze śnieg padał coraz gęstsze mi płatami, ale dotąd równo i spokojnie.

Byleby wiatr się nie zerwał później, jak to się często pod wieczór zdarza! — myślała.

(d. c. n.)

SZARADA

przez Skowronka z nad Warty.

Pierwsze z drugim, roślina pospolicie znana,
Jako przyprawa potraw często używana.
Pierwsze z trzeciem, znów zwierzę szlachetne, wspaniałe,
Chociaż tutaj z pieszczoty ma imię zdrobniale.
Wszystko mąż, co w nauce wielki przewrót sprawił,
I nieśmiertelne imię krajowi zostawił,
Który Ptolemeusza zwalczył błędne zdanie,
I na inne pchnął tory wszechświata badanie.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

przez Łabędzia.

* * * * * Zastąpić kropki i gwiazdki literami, aby litery oznaczone gwiazdkami złożyły nazwę słynnego malarza.
*
* 1) 2) Imię męskie. 3) Środkowa część Karpat. 4) Rzeka wpadająca do m. Północnego. 5) Nazwa parowu. 6) Przyimek rządzący VII przyp. 7) Wykrzyknik.

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

przez Kondora królewskiego.

Widzisz te cztery kupki jabłek; rzekł pan Norbert do Jasia. Wszystkich jabłek we wszystkich kupkach jest 62. ale w każdej kupce jest o 4 jabłka więcej, niż w poprzedniej. Oblicz więc, ile jabłek zawiera każda kupka.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Dla P. z P. od Żabiego Oczka.

Z następujących sylab utworzyć 16 wyrazów, których początkowe litery złożyć mają tytuł pisma ilustrowanego: A—ba—ca—de—dya—dy—el—el—ha—i—i—ko—lus—ło—ma—moy—mu—ma—mu—mit—niec—na—ne—nan—o—o—pol—ro—ron—rza—ryk—rys—sła—sa—ski—sen—słan—ster—tra—wi—yo—za—zy—zo.

Znaczenie wyrazów: 1) Rzeka w Polsce. 2) Wodospad w Finlandyi. 3) Dopływ Elby. 4) Słynny hiszpański poeta. 5) Hetman pamiętny z bitwy pod Byczyną. 6) Twierdza w Armenii. 7) Żona Mieczysława II. 8) Port w Japonii. 9) Postać mitol. rzymska. 10) Bóstwo egipskie. 11) Materya wybuchowa. 12) Zjawisko atmosferyczne. 13) Wyspa północ. Europy. 14) Miasto we Włoszech. 15) Słynny współczesny podróżnik. 16) Wyspa znana z pobytu bohatera XIX w.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 47-go.

. Szarady 1-ej: War — sza — wa. 2-ej: Ty — flis.

Łamigłówni kropkowanej:

Unikaj ku złemu kędy wiedzie droga,
Idź prawym szlakiem od pierwszych swych lat;
Zacnych uszanuj, wielbij i czcij Boga,
Pielegnuj w duszy niewinności kwiat.

Arytmografu z zagadką:

- 1) Zamość. 2) Działo. 3) Wallis. 4) Oleśnicki. 5) Cieplice.
6) Hamid. 7) Sienkiewicz. 8) Yavari. 9) Ledwie. 10) Altaj. 11)
Baltimore. 12) Charków. 13) Odyniec. 14) Dodona. 15) Zapał.
16) Ibisy. 17) Erzerum. 18) Nos. 19) Wrocław. 20) Ili.
21) Eure. 22) Czerwiec. 23) Irawadi. 24) Euterpe.

Z dwóch sylab codzień wiecie,
Co się dzieje w całym świecie.

Z ga — zet.

Skrzynka do listów.



Panu B. z Białkowa. Żądane dodatki wysłaliśmy, jako od całorocznego prenumeratora dopłaty za nie nie bierzemy.

Ułanowi nagrodę konkursową wysyłamy.

Hamilkar z nad Newy dobrze rozwiązał zagadkę, szaradę i łamigłówkę. Bardzo nas cieszy, że z taką niecierpliwością oczekujesz „Wieczorów,” bo dowód to oczywisty, że je czytasz z zajęciem. Premium wysłane, gdy czas pozwoli, pisuj do nas częściej.

Witoldowi z Płocka. Konkurs na kaligrafię był już w tym roku, następny ogłosimy w lutym roku przyszłego. Rozwiązanie dobre.

P. Adeli G. Rzeczywiście po sprawdzeniu okazało się, iż **Strzałka** została zamieszczoną na liście pańienek, które zasłużyły na *pochwałę* za robótkę konkursową i opuszczoną przez pomyłkę drukarską. Kalendarzyk wysłany wraz z nagrodą dla **Kazi H.** Za list bardzo dziękujemy.

Może nam **Marya W.** inną łamigłówkę obmyśli, bo nadesłana zbyt jest łatwą; trudniejszą z ochotą pomieścimy.

Dobrze rozwiązali zadania: **Bratek, Jadzia i Genia M., Józio W. i Jagienka.**

Dziękuję bardzo **Waciu** z Nowogrodu za ciekawe szczegółowy listu, zapoznały nas one z sobą i dalszą korespondencję już jako między dobrymi znajomymi prowadzić możemy. Nie wątpię, iż kiedy w 4-ej klasie jesteś pierwszym uczniem i nadal nim pozostaniesz, bo na pilności i chęci do pracy zbywać ci nie będzie. Wszelkie zadania własnego układu możesz nam przysyłać, a odpowiednie, pomieścimy chętnie. Radziłabym ci tymczasem gramatykę **Małeckiego** skróconą (kop. 80) i **Ćwiczenia** stylistyczne **Boguckiej, Niewiadomskiej** i **Warnkówny**, stopień II, (kop. 70). Jeżeli chcesz możemy się zająć przesyłką tych książek, prosimy tylko o dokładny adres. Co do nazwy *Listopad* pochodzi ona od słów *liść padać*, a utworzona jest w ten sposób jak np. „koniokrad,” lub „rybołóstwo” za pomocą łącznika *o*, a więc listopad, a nie list-opad.

Neci S. trudno odpisać na liścik, zawierający tylko dobre

rozwiązania zadań, gdy odbiorę inny obszerniejszy, chętnie z żądaną i dłuższą odpowiedzią pośpieszę.

Miła odezwa **Wieśniaczki** ucieszyła mnie bardzo, bo pod nowym pseudonimem odnalazłam dawną korespondentkę, od której przywykłam odbierać przyjemne liściki. Zgadzam się z tobą, że czytanie to jedna z najmilszych rozrywek. „Księżniczka” **Z. Urbanowskiej** zajęła cię bardzo, od N. Roku rozpoczynamy w *Wieczorach* te same autorki nową i bardzo ciekawą powieść, o której czytałaś zapewne w odezwie od Redakcyi. Znajdziesz też i powieść ulubionych twoich autorek: **Teresy Jadwigi** i **Morawskiej**.

Chciałam cię zadowolnić droga **Jodełko z nad Wilii** więc się cieszę, że mi się to udało i że zadowolona jesteś z otrzymanej książeczki. Szaradę dobrze rozwiązałaś, a gdy raz się udało i z następnymi pójdzie dobrze i łatwo.

Przekonałaś się **Toluśko**, że napisanie do Jaskółki nie jest rzeczą tak trudną, trzeba tylko chcieć i wybrać wolną chwilkę pomiędzy lekcyami a zabawą, a na krótki liścik nie potrzeba wiele czasu. Chcąc zapamiętać to co się czyta, trzeba czytać wolniej, a czasami nawet gdy coś więcej zajmuje przeczytać to raz i drugi, by w główce lepiej utkwilo. Premium posłano.

Nie tylko chcę, ale proszę **Skoczko**, gdy ci tylko przyjdzie ochota na pogawędkę ze mną, siadaj i pisz. Nie potrzebuję cię zapewniać, że tą pogawędką zawsze mnie uradujesz i na odpowiedź długo czekać nie będziesz. *Wieczory* i żądaną książkę wysłaliśmy niezwłocznie.

Chochlikowi. Kiedy łamigłówki twoje będą drukowane po wiedzieć nie mogę, bo to odemnie zupełnie nie zależy. Jeżeli masz ich więcej, to je zawsze przysłać możesz. Twój pseudonim bardzo mi się podoba, równie jak wiele innych, których niestety wymienić nie mogę, bo zawiele zajęłoby to miejsca.

Kazita za poważną osobką uważać się musi, sądząc, że będzie najstarszą z grona mych korespondentek. Mylisz się jednak w tym względzie, bo o wiele starsze pańienki pisują do mnie, owe 16-o letnie zwą się same „staruszkami,” ale ty do tego grona zaliczoną być jeszcze nie możesz. Obszerniejszego listu, jaki obiecujesz, oczekiwać będę wraz z powiastką, którą chętnie przeczytam i zdanie moje napiszę otwarcie.

Cieszę się kochana **Wiochno z pod Opoczna**, żeś wznowiła naszą korespondencję po tak długiej przerwie, bo miło zawiązywać nowe znajomości, ale milej może jeszcze spotykać dawnych znajomych, zwłaszcza gdy otrzymujemy od nich listy, które i zająć i radować mogą. Do takich twój zaliczam. Zajmuje, bo wiele ciekawych zawiera wiadomości, a raduje, bo tryska z niego uczucie i wiele myśli pocziwych. Stosunki między pracującymi i chlebodawcami, o których piszesz z takim podziwem może się i u nas kiedyś tak samo ułożą, potrzeba na to większego wykształcenia z jednej, a dobrej woli z drugiej strony. Mundury i wszelkie książki za pośrednictwem Redakcyi naszej przysłać możesz. Żądane premium wysłaliśmy. Polecając się nadal twój pamięci, pozdrawiam cię serdecznie wraz ze wszystkimi przyjazniami mi czytelnikami

Wasza *Jaskółka*.

Od Redakcyi.

Przy kończącym się roku dla uniknięcia zwłoki w odbiorze pisma przypominamy o odnowieniu prenumeraty na

„**Wieczory Rodzinne**”
które według zapowiedzi, umieszczonej w numerze 46-ym wychodzić będą w roku 1900-ym pod tymi samymi, co dotąd warunkami.

Upraszamy czytelników naszych o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach, żądaniach o wysyłaniu premium, nagród i t. p. Zmiana adresu kop. 14.